

Za chwilę Boże Narodzenie

Dla większości z nas pierwsze z wojną za miedzą. Ale ja pamiętam – jak za mgłą – gdy, czteroletnia, w czasie drugiej wojny światowej, w Wilnie, siedząc pod choinką, sięgnęłam łakomie po wielkie czerwone jabłko wiszące na choince tuż nade mną, ugryzłam i... co tu opowiadać. Była to bombka choinkowa!

W czasie kolejnego Bożego Narodzenia (też jeszcze w Wilnie) ojciec udał się ze mną z wizytą do pani imieniem Janka. Posadzona obok choinki na wysokim stołku wdychałam oszałamiający zapach czegoś pomarańczowego parującego w miseczce przede mną i pokrzykiwałam: *nie, nie chcę, nie będę jadła*. Choć całe moje jestestwo rwało się do smakołyku. Nie tknęłam pomimo zachęt. Trzymałam nieuzgadnianą babską sztamę z mamą, która – zdaje się – coś przeciwko owej pani Jance miała.

Jadałam potem różne desery: budynie, kremy, torty, lody, panny cotty, tramisu, ale już nikt nigdy więcej nie zaproponował mi czegoś, co nazywało się legumina.

W dorosłym życiu zdarzyło mi się związane z Bożym Narodzeniem jeszcze jedno silne negatywne – na szczęście z happy endem – przeżycie. Z pięćdziesiąt lat temu jechaliśmy w pięcioosobowym gronie na święta do Kazimierza Dolnego. Tylne siedzenie okupowaliśmy z moją dwudziestoletnią siostrą i kilkuletnim synkiem. Trakt leśny, piękna księżycowa noc. Kierujący czegoś szukał w schowku, nie patrząc na drogę. Wtrąciłam się cicho (aczkolwiek dość wystraszona): *uważaj, mostek...* Wpadliśmy na ów mostek z impetem, i tuż za mostkiem na oblodzonej drodze przeżyliśmy poślizg jak z filmu. Wysokie świerki z lewej, za sekundę z prawej, znów z lewej, znów z prawej, z lewej... Stanęliśmy całkiem prosto tyłem do kierunku jazdy. Ale na drodze i wszyscy w nieuszkodzonym komplecie. Na szczęście droga była pusta (dziś to już chyba byłoby niemożliwe). Po długiej chwili ciszy stwierdziłam odkrywczo: *jesteś mistrzem kierownicy*.

Gdy już ruszyliśmy w dalszą drogę, moja siostra zauważyła filozoficznie: *jak się kręciliśmy w kółko na ślizgawce, myślałam sobie „biedni ci nasi rodzice, stracą za jednym zamachem dwie córki i wnuczka”*.

Ale przeważająca większość moich Bożych Narodzeń była jak się patrzy – przyzwoita.

Przez kilka dziesiątków lat, gdy mieszkaliśmy w kamienicy (schronisko PUR) przy dworcu Łódź Fabryczna, nasz rodzinny rytuał przygotowania do świąt był niezmienny:

1. Mycie siedmiu dużych, prostokątnych okien z ramami w kształcie krzyża. Trochę „podrośnięta” siadałam na poprzecznej drewnianej ramie i wychylałam swoją sylwetkę

ze szmatą w rękę dość ekwilibrystycznie jak najdalej, gdyż lufciki otwierały się na zewnątrz. Niewielka waga sprzątającej nie pozwalała ramie na pęknięcie czy złamanie.

2. Pastowanie czerwonym pokostem desek podłogowych w przedpokoju i pokoju *głównym*. A potem polerowanie do połysku za pomocą ciągnięcia dziecka (czyli mnie), siedzącego na dużej, odnośnej płachcie, przez któregoś z rodziców wzdłuż desek.
3. Mieszanie grubym patykiem gotującej się bielizny, pościeli o obrusów w dużym kotle na kuchence węglowej w zaparowanej kuchni. Obowiązek naprzemienny.
4. Przynoszenie z mrocznej piwnicy, z drugiego podwórka, na wysokie drugie piętro kilka razy po dwa wiadra węgla na zapas. Obowiązek naprzemienny.
5. Kupowanie, targanie na drugie piętro, stabilizowanie choinki – zawsze sięgającej wysokiego sufitu. Obowiązek ojca. Strojenie drzewka – oczywiście obowiązek mój. Uwielbiam to do tej pory.
6. Codzienne palenie w kaflowym piecu w pokoju *głównym*. Gdy na mnie padło – potrzebowałam każdorazowo całej masy łatwopalnych brykietek i co najmniej jednego pudełka zapalek.

Gdy wszystko już było poprasowane, odkurzone, ugotowane i upieczone – w dzień Wigilii zaglądałam do dochówki kaflowego pieca, gdzie (nie tyle dla zdrowotności co dla gorącości) oczekiwały na spożycie niezastępowalne niczym wileńskie śliżyki.

Najpiękniejsze, niezapomniane święta Bożego Narodzenia spędziłam w roku 1951. W maju tego roku urodziła się moja młodsza o jedenaście lat siostra. Rozrabiła w kołysce pod choinką na wzór boskiego dzieciątka. Szalałam ze szczęścia z powodu posiadania rodzeństwa.

Wigilię spędzaliśmy z rodzicami, moją cioteczną siostrą Wandą (której rodzice zginęli w czasie wojny, gdy pierwsza bomba spadła w Wilnie na ulicę Niemiecką) oraz ciocią Jadzią, śliczną pielęgniarką. Postanowiłam, aby uczcić niezwykły i radosny fakt powiększenia się rodziny, w prezencie dla każdego stworzyć laurkę z własnoręcznym wierszykiem. Wszystkie bardzo podobały się adresatom. Rodzicom przy okazji trochę (jak to kochająca córka!) przypominałam drobne wady.

Poemacik dla siostrzyczki brzmiał:

Mama chciała mieć syneczka,

A jest mała dziewczyneczka.

Milanką ją nazywamy

I wszyscy bardzo kochamy.

Wszyscy ją całują, pieszczą,

A kto dotknie ją, to wrzeszcza,

Że bakterie ma, zarazi,

Dziecku palec w oczko wsadzi [...]

Dla tatusia zaś:

Przyszedł sąsiad, chodź kolego

Zakurzym popularnego

Chodź do mego pokoiku

Bo w pokoju dużo krzyku

Tam Milanka krzyczy, wrzeszczy

Niech już matka ja tam pieści.

Jak widzicie państwo, kwitnący patriarchat!

Niezależnie od wieku, zwykle oczekujemy na Boże Narodzenie z radością. Chyba że przebywamy w jakiejś instytucji systemowej: w więzieniu, ośrodku dla uchodźców, w domu opieki lub we własnej wielochorobowej zaawansowanej wiekowej samotności.

Rozejrzyjmy się. Można wesprzeć akcję Szlachetna Paczka. Można przejrzeć listy do Mikołaja od pensjonariuszy depeesów, gdzie nadawcy marzą o pachnącym mydełku, czekoladzie, kawie czy ciepłych papuciach. Zaprośmy samotną sąsiadkę. Brzmi banalnie, a za drobnym czynem kryje się bezcenna chwila wzajemnej świetlistości...

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

Panaceum 12/2022